



JÓZEF IGNACY  
KRASZEWSKI  
KRÓLEWSCY  
SYNOWIE



**JÓZEF IGNACY  
KRASZEWSKI  
KRÓLEWSCY  
SYNOWIE**

Copyright © 2011, wydawnictwo MG

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw

ISBN: 978-83-7779-018-2

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

[www.wydawnictwomg.pl](http://www.wydawnictwomg.pl)

[kontakt@wydawnictwomg.pl](mailto:kontakt@wydawnictwomg.pl)

# TOM I

*Boleslae, Boleslae, Dux gloriosissime... defendis tuam terram quam studiosissime...*

Pieśń obozowa niemiecka  
Gallus

## I

Słońce zachodziło za lasy złocąc niebiosą, które się gorzeć zdawały; tam nawet, gdzie bladły jego blaski, lazur się mienił w barwę ołowianą, jaką po skwarach przybiera. Wieczór był duszny, najmniejszego ruchu w powietrzu. Na starych drzewach, które cichy klasztor otaczały, liście wisiały jakby powiedłe od gorąca. Co żyło, szukało cienia, a w nim spoczynku i orzeźwienia. Niebo bez chmurki nie zapowiadało zmiany.

W klasztorze i poza tynem\*, który opasywał jego podwórza, cisza panowała głucha; niekiedy szmer jakby powolnego, znużonego chodu ludzkiego przerywał ją na krótką chwilę i ginął gdzieś w dali.

Ukośne promienie słońca, zabarwione gorąco, padały na czoło małego kościołka, na mury i ściany klasztorne silnymi cieniami odznaczając każde wgłębienie, gzyms, kamień, zarysowaną powłokę.

---

\* tyn – ogrodzenie składające się z poziomych żerdzi i pionowych dranic; całość przytwierdzona jest do wbitych w ziemię kołów.

Jak pustka wyglądały teraz te budowy ze drzwiami pozamykanymi, z pozasuwanymi oknami, około których ani człowiek, ani zwierz, ani nawet mała ptaszyna nigdzie się nie pokazywała. Wszystko, co żyło, chroniło się w mury, czekało, aż wieczór odżywi powietrze rosą, a noc świeżość z sobą przyniesie.

Był to rok posuchy, na polach zboża pożółkły przed czasem, samotnie stojące drzewa miały już spalone liście, w rzekach resztki wód, jakby wstrzymane w biegu, drzemały i okrywały się pleśnią; strumienie w obnażonych łożyskach jeżyły się oschłymi kamieniami, w studniach brakło wody, trzęsawiska wśród lasów gorzały; gdzieniegdzie bory, zażegniete przez pastuszków, paliły się łuny szerokimi, czerwieniąc niebo po nocach. Powietrze przejęte było tą zgorzeliną błot i lasów i jakby od dymu skwaśniałe.

Klasztor, stojący wśród puszczy niedawno przetrzebionych, choć na owe czasy rozległy, wspaniałej nie miał powierzchowności. Znać na nim było i trudności budowania, i pośpiech może, i małą troskę o kształty jego zewnętrzne. Kościół się niewiele nad nim podnosił, a w skromnej wieżyczce jego zaledwie para z blachy kutych dzwonów wisiała. Mury, z których się składały budowy, były z kamieni polnych grubo i nie bardzo foremnie polepione. Część budowli do nich przytykająca, z drewnianych brusów zaledwie ociosanych złożona, ciemniejszą barwą odbijała od ścian kamiennych.

Obok tych gmachów dość rozległych a niepozornych znać jednak było w podwórcach i ogrodach przytykających troskliwą rękę, która około nich chodziła. Bujnie tu rosły pozasadzone krzewy, którym dostarczano wody ze studni, jak świadczyły leżące na ziemi korytka; nieznane pod północnym niebem rośliny kwitły tu, rozwijały się na podziw bujnie i pięknie. Na wbitych w ziemię kołach obwijały się latorośle winne między liśćmi, wśród których zafarbowwały się już ciemne grona; na grzędach rozścielały się zioła, wonią aromatyczną napełniające powietrze. Tuż koło studni, z której ożywcze na sad rozlewały się wody, wysoki krzyż drewniany ze znakami Męki Pańskiej zdawał się ubłogosławiać źródło. U stóp jego, na tablicy głoskami wielkimi stał napis:

*Tu es fons et vita.* (Tyś jest źródłem i życiem)

Wpółród sadu założonego na pochyłości wzgórza ku południowi zwróconego ręka, co trzebiła las tam niegdyś rosnący pozostawiła kilka starszych drzew rozłożystych, ocieniających szerokie przestrzenie zieloną okryte murawą. Pod kilku z nich stały ule z pszczołami, pod innymi leżały kamienie dla spoczynku; lecz teraz ani pszczół około ulów, ni ludzi na siedzeniach widać nie było. W rogu sadu, gdzie zostało kilka lip starych, a krzaki pod nimi promieni słońca nie dopuszczały, stał przyparty do parkanu daszek słomą okryty, a pod nim leżała ława z jednego kłosa drzewa.

Dwóch ludzi ukrytych tu siedziało w milczeniu. Oba odziani byli w suknie czarne braciszków klasztornych odznaczające, nie mieli jednak ani kapturków, ni zwierzchnich sukni kapłańskich. Oba młodzi byli, a choć ubiorem nie różnili się od siebie, najmniej wprawne oko musiało w nich dojrzeć, jeśli nie różnicę stanu, to charakterów i usposobienia.

Jeden z nich siedział w rogu ławy wsparty na rękach, które na kolanach trzymał jak wbite; drugi, patrzący nań z rodzajem obawy i podziwu, nieco opodał się umieścić i z oka go nie spuszczał. W rysach twarzy jego malowała się zarazem litość, podziw i trwoga. Ten drugi miał twarz wyrazu łagodnego, bladą, oczy niebieskie, włos jasny, krótko postrzyżony, ciało wątłe i delikatne i ręce małe. Suknia czarna, zbyt dlań obszerna, w szerokich a grubych fałdach opadała z wychudzonych jego ramion, pas, którym był ściśnięty, osuwał się i zdawał rozpuszczać.

Ten, na którego on patrzył, jak gdyby tylko co mówić poprzestał, a ostatnimi słowy trwogą napełnił towarzysza, mimo sukni zakonnej nie miał mnicha pozoru. Odzież, którą miał na sobie, zdawała się dlań za ciasną, wyszarzaną była, jakby obchodzeniem się z nią nie dbałym i dzikim; w kilku miejscach widać było na niej dziury jakby gałęźmi wyszarpane, plamy od tłuszczu i kurzawy, która przylgnęła do niej. Twarz i postać cała stan ten sukni tłumaczyły. Chłopiec był zaledwie zmężniały, bujno się jeszcze rozrastający, na wojownika może bardziej stworzony niż na spokojnego mnicha. Ręce wystające z rękawów silne były i do dźwigania miecza lub siekiery jakby ula-

ne; kark obnażony, ogorzały, ponad kołnierz wychodzący, nadawał głowie charakter zwierzęcej jakiejś siły. Wyrazistszą jeszcze nad te kształty była głowa sama z twarzą bladą, długą i wielką, która miała w sobie coś dzikiego. Ponad nią obcięty włos jeżył się; twardy i poplątany.

Mimo wieku młodego oblicze było prawie stare, zbladłe, żółtkłe i patrzące srogo a szyderczo. Rysy jego niepiękne, wyciosane grubo a twardo, odpychały dumą i jakby złością tłumioną, trawiaącą wnętrze człowieka. Szerokie dosyć usta warg nie miały prawie, jednym wąskim pasem przecinając policzki. Nad oczami brwi zmarszczone, pofałdowane, ruchome wisiały, jakby ją myśl jakaś ściągnęła gniewna. Z bladych oczu patrzących bystro grozę tylko tłumionej złości można było wyczytać. Spod sukni wysunięte nogi w chodakach zaniedbanych i okurzonych tak silnie wryły się w ziemię, jakby je w nią gniew jakiś i miotanie się wkopało. Na całym też młodzieńcu widać było wyraz buntowniczy bezsilnego oporu.

Milczeli tak dwaj pod daszkiem siedzący dosyć długo; ostatnie promienie słońca zapadały za lasy, a ogród okrywał się półmrokiem zwiastującym chłód wieczorny.

— Wracajmy do celi — rzekł w końcu cicho, bojaźliwie niemal młodszy brat siedzący na rogu ławy.

Zadumany smutnie młodzian odwrócił ku mówiącemu głowę i potrząsnął nią tylko na znak, że tego uczynić nie myśli. Po niejakim czasie towarzysz znowu cicho powtórzył toż samo żądanie. Usłyszawszy je, jakby gniewem zatrząsł się słuchający i nagle, zwracając się cały do mówiącego, zawołał:

— Nie chcę! Dosyć się w niej nasiedzę... Dusi mnie ta celka wasza, zdaje mi się w niej, żem w trumnie.

— Ojciec przełożony gniewać się będzie — szepnął drugi, oczy spuszczaając.

Uśmiech przebiegł po ustach niecierpliwego młodzieńca, który zadrżał i twarz na chwilę ukrył w dłoniach.

— Bracie Aleksy — ozwał się łagodnym głosem drugi — bracie Aleksy, już by wam czas było z tym się położeniem oswoić, a o daw-

nym zapomnieć. Co być nie może, tego się daremnie spodziewając człowiek dręczy się tylko... Trzeba się poddać...

— Tak! Tak! — dziwnym, bełkotliwym głosem wybuchnął brat Aleksy, w którym czuć było razem złość i szyderstwo. — Chcecie, to wam powiem to, co wy mnie mieliście mówić? Rozum mieć trzeba, rezygnację mieć należy, głowę skłonić, całować rękę, co chłoszcze, milczeć, uśmiechać się, jakby to było szczęściem, co jest karą i tyranstwem... He?

— A tak, tak! — potwierdził młody, który słuchał z podziwem. — Wyrwaliście mi to z ust. A czemuż nie czynicie tego, co tak dobrze znacie?

— Bo nie mogę! — zawołał brat Aleksy. — Bo nie jestem bratem Aleksym, tak jak wy jesteście bratem Łukaszem, ale księciem jestem i królewskim synem! Na mnicha się nie rodziłem, suknia ta ciąży mi i ściska jak żelazna, pali jak ogień, parkany te mnie duszą, klasztor mi się wydaje więzieniem, wy katami i stróżami, a ojciec przełożony — oprawcą...

Z trwogą obejrzał się młodszy i załamując ręce zawołał:

— Na Boga! Coście to rzekli! Idźcie i spowiadajcie się ze słów waszych, bunt to grzeszny!

— Idź, idź, zdradź mnie, powiedz, że mi się te słowa wyrwały, jeśli chcesz! — krzyknął wstając z ławy i na powrót się na nią rzucając królewski syn z miną pogardliwą.

Braciszek Łukasz zarumieniony spuścił głowę i zamilkł.

— Nie potrzebuję was zdradzać — odezwał się po przestanku łagodnym głosem politowania — wy się co dzień zdradzacie sami mową, wzrokiem, milczeniem nawet. Żal mi was!

— A co mi po twojej litości! — rozśmiał się królewicz. — Ona mi tej sukni nie ściągnie i nie da swobody!

Westchnął ciężko.

— Gdybym choć zapomnieć mógł dziecinnych lat i moich nadziei, i czyja to krew płynie we mnie, i co mi wydarło!

— Zapomnieć byście mogli, gdyby wola — odezwał się brat Łukasz. — Wy się daremnie tym trujecie i jątrzycie. Wszystko to sny są tylko i marzenia niezdrowe.



— Jakie sny! — wybuchnął królewicz, znowu zrywając się z ławy i opadając na nią. — Matka moja była tak dobrze żoną królewską czy księżącą jak Judyta\*, dla której ją precz odegnano gdyby nałożnicę. Ojcem moim był król, czekało mnie panowanie! Cóż z tego, że z księżęcego nie szła rodu, kiedy łoża pańskie podzielała przez lat tyle! Gdybym nie był królewskim synem, gdyby się mnie nie bali, czyby mnie byli postrzygli i gwałtem zaparli w tych murach obrzydłych?

— Dajcie już pokój tym żalom — począł uśmiechając się brat Łukasz — gorycz pijecie dobrowolnie.

— Daj mi ją pić — przerwał królewicz — co ci moja gorycz szkodzi? Ja tym żyję, tymi piołunami się karmię. Postrzygli mnie, ale i postrzyżeni na świat wracają, włosy odrastają.

— Darmo o tym nie marzyć! — przerwał braciszek.

— Któż ci powiedział, że darmo? — gniewliwie przerwał drugi — póki człowiek żyje, póty nic nie stracone.

Brat Łukasz ruszał tylko ramionami.

— Ach — rzekł cicho — czyż może być większe szczęście nad to, jakie my tu mamy? Zaprawdę, ja bym go na żadną stolicę księżącą nie zamienił. Czegóż nam brak? Jesteśmy sługami największego z panów, panów Pana, nie znamy trosk życia, w ciszy możemy chwalić Boga zarabiając na królestwo niebieskie. Na tronie, na wojnie, żadna chwila życia niepewna, brat morduje brata, wrogowie cię otaczają, wojna sieje niebezpieczeństwa...

— Tak — odparł szyderczo królewicz — a tu, co za rozkosze? W murach ciasnych jedne ścieżki o jednej co dzień wydeptywać godzinie, milczeć, śpiewać; pościć, słuchać i powoli umierać. Tak, bracie Łukaszu... Dla ciebie to wszystko dobre, ale nie dla mnie, nie dla mnie! Mnie należało i należy panowanie, mnie wydarto ziemie moje, imię moje, godność moją, starszeństwo moje, cześć matki, prawo, własność... wszystko!

---

\* Judyta — mowa tu o pierwszej ślubnej żonie Władysława Hermana, matce Bolesława Krzywoustego; była ona córką Wratysława II, króla czeskiego.

Brat Łukasz wstał, stanął przed mówiącym i przypatrywał mu się bacznie.

— A nie powinniście Bogu dziękować, że wam, jak drugim, życia albo oczu nie wydarto?

Podniósł głowę z groźnym wejrzeniem królewicz.

— Tyś, małe człeczko! — krzyknął. — Tyś się gdzieś rodził w ubogiej chacie; tobie przysało za wszystko dziękować, boś nie miał nic! A ja się burzę, bo mi wydarto wszystko! Rozumiesz?! Dosyć tego!

— Zaraz zadzwonią na chór wieczorny — rzekł Łukasz — chodźmy już.

— Idź, jam chory, zostanę w ogrodzie — rzekł na rękę się podpierając królewicz.

— Bez was nie godzi mi się.

— Boście do mnie łańcuszkiem przykuci, stróż mój — zaśmiał się królewicz. — Weźże mnie siłą, nie chcę i nie idę!

— Siły nie mam, a gdybym i miał, nie użyłbym jej — rzekł Łukasz.

— Widzisz, żeś stworzony do niewoli — zaśmiał się złośliwie drugi. — Ja gdybym mógł, gdyby się to na co zdało, choć cię lubię, zdusiłbym cię jak żabę, aby być wolnym. Ciebie, twoją bracię zakonną i samego przełożonego.

— Człowiecze! — krzyknął przerażony brat Łukasz.

Królewicz śmiał się złośliwie, wstał z siedzenia, wyciągnął się tak silnie, że ciasna suknia zakonna pękać na nim poczęła, ręce do góry podniósł z dłońmi zaciśniętymi, popatrzał z pogardą na towarzysza i zdawał się mimo to, co mówił, zabierać do pochodu; gdy nagle, jakby zmieniwszy postanowienie, by mieć przyjemność dręczyć dodanego mu towarzysza, znowu padł ciężko na kłodę i położył się na niej. Odetchnął całą pierś; powietrze zaczynało ostygnać nieco, otarł czoło, po którym krople potu spływały...

Łukasz stał zdając się niecierpliwie oczekiwać na niego, spozierając niekiedy ku klasztorowi.

— Idziemy — rzekł z cicha.

Królewicz śmiał się urągając.

— Czekaj — rzekł — dlatego, że ty chcesz iść tak posłuszny, ja właśnie nie chcę. Co mi uczynią?

— Ojciec przełożony... — począł braciszek.

Królewicz ramionami ruszył z pogardą.

— Wszyscy nad wami litość mają — dodał brat Łukasz — tylko wy jej nie macie nad sobą. Gdyby chciał ojciec przełożony, tak dobrze by was posadził do ciemnicy na chleb i wodę, jak każdego innego.

— A ja, myślisz, nie zaniósłbym do ciemnicy mojej dumy i moich dum? — szydząc rzekł brat Aleksy. I ręką zamachnął w powietrzu.

Mrok padał, ptactwo w gałęziach ruszyło się przed snem czyniąc przygotowania, około gniazd polatując z krzykiem. Jaskółki pokazały się górą szybując ponad ich głowami, leciuchny wietrzyk zaszemrał w gałęziach.

— Chodźmy już — prosił brat Łukasz.

— Iść i w dusznych marach się zamknąć teraz, gdy właśnie jest tu czym odetchnąć. Bodaj was wszystkich z tym waszym klasztorem!

Zamilkł, wziął liść z drzewa i odwilżył nim usta, ale wnet zębami poszarpał go w kawałki i odrzucił.

— Co wam dziś jest? — zapytał stojący i oczekujący braciszek.

— Dziś? A, macie słuszość — odparł żywo królewicz — prawda! Dziś jestem gorszy, rwę się z powroza jak cielę, które do rzeźni prowadzi. Wiesz, czemu?

— Cóż się nowego stało?

— Miałem sen — odparł królewicz.

— Sen? Sny zsyłają złe duchy, aby kusiły ludzi. Snom nie potrzeba dawać wiary — rzekł Łukasz.

— Nieprawda, są sny prorocze — zawołał królewicz. — Nie czytałeś w Biblii o snach wykładanych przez Józefa?

— Ale wy nie jesteście faraonem — szepnął braciszek.

— Jestem synem królewskim! — odparł z dumą zagadnięty. — Sen był straszny, dziwny, wstałem po nim, jakbym wyszedł z łaźni, długo oprzytomnieć nie mogłem. Śniła mi się dawno zmarła matka moja; widziałem ją przed sobą tak, jak oto was widzę; taką piękną, silną, zdrową, jak ją niegdyś pamiętam. Ale miała włos rozpuszczony, szaty

podarte, wzrok z gniewu ciskający pioruny. Choć uśmiechała się do mnie, straszna była. Wyciągnęła rękę ku mnie leżącemu i poczęła głosem, w którym gniew mieszał się z płaczem, choć po ustach jej śmiech się przesuwiał. — Zbyń! — tak mnie nazywała. — Zbyń! Wstawaj! Zrzuć tę suknię plugawą, zbroję wdziej, drzwi wyłam, koń tam stoi i czeka na ciebie. Idź! Spiesz! Pamiętaj, że wolność ci dam na to, abyś się mścił na nich wszystkich, wszystkich do ostatniego, na ojcu nawet, tak, na własnym ojcu. Mścij, mścij!

— A, okropny sen! — zawołał kleryk drżący.

— Na ojcu! Tak mówiła – kończył królewicz. — Co mi za ojciec, który się wyparł własnego dziecięcia?! Cały dzień tętniły mi w uszach te wyrazy matki. Widzę ją jeszcze przed sobą rozkazującą: Wstawaj, idź. Mam ochotę wybić furtę klasztorną i lecieć w świat.

— Zbudzony na pół, współśpiący — mówił dalej — chciałem zaraz zerwać się posłuszny, nie mogłem. Coś mnie przybijało do łoża, głowa była jakby obręczą przykuta do poduszki, nogi jakby żelaznym obciążone brzemieniem. Wysilałem się, aby wstać, jęcząc, miotając się, a nie mogąc ruszyć z łoża. Matka wołała ciągle: — Wstań, idź, mścij! — Dopiero nad ranem okrutną tą męczarnią znękany zerwałem się z krzykiem! Dzwon na jutrznią wołał do chóru; obejrzałem się — matki nie było, ale głos jej, głos ten mam jeszcze w uszach, w pamięci...

— Sen mara, Pan Bóg wiara! — szepnęła braciszek. — Było się przeżegnać i pomodlić, ustąpiłyby siły nieczyste.

Słów tych domawiał, gdy nagle królewicz się zerwał.

— Tst! — krzyknął głosem stłumionym. — Tst! Słyszysz?

Milczeli oba.

Na drodze wiodącej do klasztoru, która przechodziła poza parkanem ogrodowym, słyhać było coraz wyraźniej zbliżający się tętent koni. Ucho królewicza rozróżniało już brzęk rycerskich zbroi i mieczów, głosy jakieś obce. Lice mu się mieniło.

Gościńcem jechali niewidzialni, bo parkanem zakryci, jeźdźcy jacyś, których kilkunastu lub kilkadziesiąciu być musiało. Długo tak słyhać było wolne stąpanie koni, pobrzękiwanie oręża i zbroi. Królewicz

uczeplił się ławy, aby spojrzeć na drogę, ale dach spuszcający się na ogrodzenie nie przepuścił wzroku. Ciche jakieś szepty do sadu klasztornego dostawały się tylko od tej gromady jeźdźców. W dźwiękach ich zdawał się królewicz rozpoznawać mowę znaną, tę pierwszą, którą z ust matki słyszał w dzieciństwie. Po czole jego przepływały światła i cienie.

Teraz już i on chciał co rychlej do klasztoru powracać, bo rzeczą było pewną, że ktokolwiek byli ci podróżni, pod noc znajdujący się na gościńcu, wśród lasu, musieli u mnichów szukać spoczynku i do gościnnej furty zapukać. Królewski syn rad był zobaczyć tych obcych ludzi rycerskich, coś od nich posłyszeć, zwłaszcza, że z pochwyconych kilku wyrazów domyślał się Czechów lub Polaków.

— Chodźmy! — odezwał się krokiem szybkim wyprzedzając towarzysza. — Chodźmy, żywo!

Brat Łukasz z trudnością mógł za nim podążyć, tak szybko przesuwiał się królewicz przez wąskie ścieżki między krzewami i zieleń zostawiane, ciągle towarzysza swego i stróża wyprzedzając. Właśnie bramą drewnianą, przez całą szerokość klasztoru z sadu na dziedziniec wiodącą, dostawali się w pierwsze podwórze, gdy do zewnętrznych wrót stukać zaczęto.

W gorączce niecierpliwej chciał już sam królewicz biec, otwierać przybyłym, gdy brat Łukasz zatrzymał go, chwytając za poły, i odezwał się surowo, że to do brata odźwiernego należało, a nikt inny do wrót mieszać się nie miał prawa.

Stanął królewicz i za wrotami pierwszymi, na wpół otwartymi ukryty, mimo że go towarzysz odciągał, pozostał uparcie, chcąc koniecznie zobaczyć przybywających. Odźwierny, człek stary, włókł się mrużąc powoli z pękiem kluczy; nie otworzył jednak zrazu bramy, wstąpił na schodki przy furcie, z których gościniec widać było, i wyjrzał za wysokie ogrodzenie.

Rozmowy, która się między nim a podróżnymi rozpoczęła, dosłyszec nie było można. Stary zdawał się wahać z otwarciem i układać z podróżnymi o warunki, gdy przyszedł mu w pomoc zakonnik drugi. Układano się jeszcze; na ostatek odźwierny zstąpił i otworzył nie wrota

całe, ale furtę z boku, przez którą jednego z przybyłych wpuścił do wnętrza.

Cały wychylony, rozciekawiony, oczyma pożerał przybywającego brat Aleksy. Ten, który wszedł, niemłodym był już mężczyzną, silnym, rycerskiego oblicza, w żelazne blachy odzianym, z hełmem kowanym na głowie, mieczem u pasa, ostrogą u nogi, cały kurzem okryty. Znać przybywał z daleka... Barwy jego włosów dla pyłu rozpoznać nie było można, twarz też ogorzała pomalowała się dziwnie, bo pot, który po niej spływał, jakby zaschłym popstrzył ją błotem. Widać było tylko wąs ciemny i brodę na kaftan spływającą, siwizną już pomalowaną. Odźwierny starzec został u furty na straży, a drugi zakonnik powiodł gościa do przełożonego. Nim jednak zaprowadzono go do klasztoru, rycerz ów zwrócił się ku swoim i głośno do nich zawołał:

— Stać i czekać na mnie, aż wrócę!

Słowa te zadźwięczały dziwnie w uszach słuchającego królewicza: mowa to była, której nie słyszał od lat kilku, a która mu dziecinne przypominała lata. Ręce zacisnął silnie, twarz oblała się krwią, jasne oczy ogniem zapalały. Byłby się rzucił naprzeciw gościa, gdyby go kleryk stojący przy nim, strwożony coraz bardziej, oburącz objąwszy gwałtem całą nie powstrzymał siłą.

— Na miłość Bożą, do celi! Chodźmy do celi, bracie Aleksy — błagać począł obejmując go rękami. — Do celi. My tu nic do czynienia nie mamy, to do nas nie należy.

Zrazu wyrwał mu się królewicz i zdało się, jakby chciał przebojem iść, potem spuścił głowę, jakby go jakaś myśl złamała, i słowa nie mówiąc dał się prowadzić. Ciemnymi schodkami poczęli wstępować na piętro. Tu wąski korytarz, ciemny także, ciągnący się przez całą długość budowy, zaledwie kilku wąskimi otworami od podwórza oświecony, wyciągał się przed nimi cichy, pusty i smutny ze swym więziennym mrokiem i pustki milczeniem.

Tuż przy schodach były dwie cele obok siebie. Do jednej z nich jakby z rozpaczą jakąś rozdrażniony wpadł królewicz, a brat Łukasz, widząc go w takim stanie, po krótkim namyśle wcisnął się za nim.

Cela była zakonna, nie lepsza od innych, po mniszemu urządzona. Jedno w niej okno na sad wychodzące, zasunięte okiennicą, natychmiast z trzaskiem gwałtownie otworzył przybyły. W półświecie, które izbę oblało, widać w niej było łoże twarde, prosty klęcznik z krzyżem nad nim, dzban u drzwi gliniany, drewnianą misę i skrzynię, której wieko na pół stało otworem. Królewski syn nie był tu niczym więcej niż ubogim św. Benedykta dzieckiem. Królewicz popatrzywszy przez okno odskoczył od niego, rzucił się na twarde łoże, siadł na nim i głowę zanurzył w dłonie. Poruszony był, niespokojny, rozgorączkowany. Przybycie tych rycerzy po śnie nocnym rodziło w nim przecucie i nadzieję. Milczał trochę, potem głowę podniósł i począł głosem niespokojnym.

— Słyszałeś? To są Krakowianie, to moi są! Po mowie ich poznałem. Skąd oni tu? Po co? Między Sasami? Jak? Dlaczego?

— To może Czesi od Pragi — odparł Łukasz. — Oni tak samo mówią i rozpoznać ich od Polan trudno... Czesi się tu często zapędzają.

— Och! Och! — począł królewicz. — Co ty mi mówisz? Czeska mowa pieśczonej inaczej brzmi niż nasza. Słowa jedne a śpiew inny. Moje ucho nawet Ślązaka rozróżni od Krakowianina, co dopiero Czechów od Polan. To są moi Krakowianie — począł rozgorączkując się coraz bardziej — moi są! Sen mój! Sen! Konie stoją za wrotami. Siadaj, jedź, mścij! mścij! — bełkotał coraz żywiej i pięściami bił po kolanach.

Brat Łukasz, patrząc jak na obłąkanego, ruszał ramionami, nie wiedząc, co z nim robić.

— A! Gdybym choć widzieć się, choć pomówić mógł z nimi — rozpoczął po przestanku królewicz. — Któż wie? Serce którego z nich ulitowałoby się może krwi królewskiej Wzięliby mnie z tej niewoli.

Zbliżył się doń brat Łukasz i w ramię go pocałował.

— Bracie mój — rzekł — bo mi was inaczej nazywać nie wolno, bracie, na miłość Boga, zaklinam was, uspokójcie się, uspokójcie! Co Wam pomoże mówić z nimi, aby się rany otworzyły i smutek potem urósł jeszcze? Choćby i Polanie byli, wasi, cóż oni wam pomogą? Stąd was żadna siła nie może wyrwać.

Królewicz z lekka go odtrącił.

— Precz! — krzyknął. — Tyś prawy klecha. Ty tego nie rozumiesz, że kto swej rodzonej mowy od dawna nie słyszał, ten dlatego tylko, aby się jej napić uszami i sercem, gotów by się skazać na męki. Ty, ty!

I pogroził mu. Brat Łukasz milczał, ręce załamując. Z wolna odstąpił ku oknu.

Cisza panowała w klasztorze, a że korytarz sąsiedni na podwórze wychodził, słyszeć stąd było można, co się na nim działo. Po chwili zaskrzypiały szerokie wrota: braciszkwowie rozpoznali tętent koni wchodzących na dziedziniec tłumnie, wrzawę, brzęk żelaza, rozmowę gwarłą, to cichszą, to głośniejszą.

Królewiczowi twarz się paliła, nastawiał ucha, serce mu biło, zrywał się po kilkakroć z siedzenia, jakby chciał biec, a towarzysz łagodnie, chłodno, ale uparcie spychał go na łóże, pół prośbą, pół musem zmuszając go do pozostania na miejscu.

— Cierpliwość miejcie! — dodał. — Jeżeli ich tu już wpuszczono, toć i do refektarza poproszą, nocleg tu pewnie mieć będą. Zobaczycie ich, posłyszycie, choćby jutro na mszy świętej w kościele, boć bez niej przecie odjechać nie mogą.

Zmilczał brat Aleksy, ale usta zagryzając rzucił się niecierpliwie. Szmer, który słyszeli w dziedzińcu, zrazu cichy, wzmógł się, głosy jakieś gwałtowne podnosić się zaczęły, brzmieć groźnie. Zdawało się, jakby spór jakiś powstał między wpuszczonymi gośćmi a zakonnikami. Brat Łukasz rozpoznawał podniesiony głos ojca przełożonego, potem odpowiedź nań hałaśliwą, niecierpliwą i okrzyk. Rycerze wtórowali swojemu, znowu mówił przełożony, potem wszyscy razem rwali się wrzaskliwie głusząc jedni drugich. Po krótkich ciszy przestankach następowały jakby wybuchy i milczenie, to znowu krzyki uparte i postukiwania oszczepami o ziemię. Można się było domyślić, że spór o coś zająć musiał. Brat Łukasz drżał, Aleksy podchodził ku drzwiom, uśmiechał się, siadał na łóżko, zrywał. Po burzliwej owej rozmowie nastąpiło łagodniejsze mruczenie i umiarkowańsze głosy, ustał spór, wróciło znowu milczenie klasztorne, tak dziwnie i niespodzianie przerwane.

Wtem na korytarzu dały się słyszeć szmer i kroki, brat Łukasz niespokojny podbiegł ku drzwiom, gdy się one otwarły szeroko i ojciec



Abdon, przełożony, wszedł z twarzą chmurną, krokiem powolnym. Widać było na nim, że tylko co do gniewu był pobudzony i teraz dopiero odzyskiwał spokój zwykły i powagę. Zjawienie się jego niespodziane w celi jednego z braciszków było tak dziwnym wypadkiem, iż ujrawszy go królewicz już nawykły do karności, na pół zachowując regułę klasztorną, która z przyklęknięciem i pocałowaniem ręki witać przełożonego nakazywała, na pół się z niej wyłamując, pochylił się tylko i nie zgiąwszy kolan zapytał:

— Ojcie przewielebny, ojcie! To moi Krakowianie są!

Opat spojrział nań surowo, zatrzymał wzrok na nim, usta mu się litościwie uśmiechnęły i rzekł z westchnieniem.

— Bogu jednemu wiadomo, azali wy się tym cieszyć macie czy zasmucić. Tak, Polanie to są i Czesi, którzy, nie mając prawa, gwałtem wymóc chcą na mnie, abym im was dał... Ja wojny z nimi prowadzić nie mogę. Wdarli się tu jako goście, a postąpili jako gwałtownicy.

Królewicz, zaledwie dosłuchawszy, krzyknął z radości. Radość ta była z początku tak wielką, iż padł na kolana i rękę opata niechętnie mu podaną ucałował, ale wnet zerwawszy się z ziemi począł wołać:

— Sen mój! Matka moja! Koń stoi! Ja jechać muszę z nimi! Muszę!...

Rzucił się nie patrząc na starszego ku drzwiom, wypadł nimi i słychać było, jak biegnie po wschodach. Opat zwolna, zamyślony, poszedł za nim.

## II

W wielkiej izbie na dole, w której zakonnicy zwykli byli przyjmować gości, z dawna tak tłumno i huczno nie było jak tego wieczora. Przy blasku kilku kaganków widać było kilkunastu zbrojnych ludzi, którzy stali oczekując, pozdejmowawszy hełmy z głów oblanych potem, z kurzawy twarz i odzież swą ocierali. Byli to tylko co przybyli goście, do

których biegł królewicz. Zatrzymano go jednak, drzwi pozamykawszy i sam opat miał go tu wprowadzić.

Na próżno się zżymał i wyrywał, ulec musiał, choć złość nim miotła.

Czesi i Polanie czekali z równą niecierpliwością, jak on się ku nim wyrywał. Na twarzach ich widać było radość, że się nareszcie do celu podróży dobili i postavili na swoim. Mężowie to byli wszyscy niemal lat poważnych, znać wojennego rzemiosła, ogorzali, silni, niektórzy z bliznami na twarzach, poodziewani dostatnio, bogato nawet, zbrojni, jak należało. Zostawieni sami sobie, gdyż zakonnik, który ich tu wprowadził, wyszedł zaraz, rozpatrywali się ciekawie po foresterium\*.

Na głównej ścianie jej wisiał olbrzymi krucyfiks z wielką figurą ukrzyżowanego Chrystusa, wyrzeźbioną z drzewa nie bardzo zgrabnie i pomalowaną. Naturalne włosy okrywały głowę. Wyraz rzeźby, jak całej sztuki owych wieków, surowy był, smutny i groźny. Bóg i święci jego tym ludziom namiętnym i dzikim musieli się przedstawiać jako siły straszliwe; nie dobrocią, ale strachem można było pokonać tych, dla których łagodność słabością się wydawała. I sztuka owych czasów nie miłością i miłosierdziem, lecz grozą i trwogą mówić musiała, przedstawiając męki, malując postacie surowe, a nieprześlągane. Takim był i ten Chrystus na ścianie foresterium.

Izba była rozległa, niska, z ławami u ścian i podobnymi siedzeniami ciężkimi przy dwu stołach, które środek jej zajmowały.

U stóp krucyfiksu paliła się lampka mała, świetelkiem mdłym niekiedy oblewając spuszczoną twarz Chrystusa. Miedziane naczynie z święconą wodą u wnijścia było jedyną ozdobą ścian nagich i pociemniałych. U stropu widać było belki olbrzymie, na których topór ciesielski próbował rysować jakieś ozdoby. Przez otwarte okna na przestrzał widać było zielony sad z jednej, podwórze puste z drugiej strony.

Niektórzy z przybyłych znużeni już na ławach spoczywali, inni chodzili, oknami ciekawie wyglądając na sad, bujno i pięknie rozrastający się jakimś nieznanymi krzewy. Wiadomo, iż benedyktyni pierwsi

---

\* foresterium (z wł.) – pokój gościnny w klasztorach.

z sobą z innych krajów przynosili nie tylko winną latorośl, ale wiele innych nasion i roślin pożytecznych.

Trzech czy czterech panów, w pośrodku izby kołem stanąwszy, mówiło z sobą po cichu, jakby się naradzając. Za każdym od strony drzwi szelestem zwracali ku nim głowy, ale już po kilkakroć zawiodło ich oczekiwanie. Zwłoka zdawała się ich niepokoić. Ten, który pierwszy zjawił się u furty klasztornej, stał na przedzie gotując się widocznie wyręczyć towarzyszków w rozmowie i przyjęciu tych, których oczekiwano, bo na drzwi ciągle miał zwrócone oczy.

Był to Dobek z Morawicy, daleki jakiś powinowaty matki królewicza; przy nim stali Śreniawa, Kaniowa i Mutyna Czech, dodany im w Pradze. Siedzący na ławach wszyscy byli Ślązacy lub Krakowianie.

Gdy tak czekają, po trosze się zżymając już, podejrzewając opata, kręcąc głowami, bo mimo obietnicy zaczęli powątpiewać, czy ten, po którego przybyli, wydany im zostanie, otwarły się nareszcie drzwi i opat wszedł wiodąc za rękę królewicza Zbigniewa w tej samej sukni poszarpanej i poplamionej, w której siedział przed chwilą w ogrodzie. Odmienić mu ją chciano, ale się oparł temu.

Nikt z przybyłych, nawet Dobek z Morawicy, po matce mieniający się powinowatym Zbigniewa, nie znał go z twarzy. Wszyscy sobie wystawiali królewskiego syna, owe dziecię pańskie, po które przybyli, pięknym, rysów twarzy szlachetnych, postawy rycerskiej. Jakież było zdziwienie ich, gdy ujrzeli przed sobą niezgrabnego kleryka w sukni ciasnej, rozrosłego wprawdzie i silnego, lecz do parobka stajennego podobniejszego niż do księżęcia, z twarzą długą, bladą, odstraszącą, na której się zwierzęca niemal radość jakaś rozszalała malowała. Jakiś czas stali osłupieni, nie mogąc przyjść do siebie, takim zawodem wydał się im ten wyrostek, którego widzieli przed sobą. Zmierzyli się oczyma, ledwie nie posądzając opata, że ich oszukać pragnął, podstawiając im innego kleryka w miejsce królewskiego syna. Wtem, nie czekając na ich powitanie, Zbigniew gwałtownym ruchem naprzód wystąpił, stanął i począł śmiejąc się głosem drżącym:

— Witam miłości wasze.

Brmienie mowy wywiodło ich dopiero z wątpliwości i osłupienia. Ci, co króla znali i słyszeli mówiącego, w głosie znaleźli jakieś z nim

podobieństwo. Dobek z Morawicy poszedł ku niemu i hełmem, który trzymał w rękę, do kolan mu się pokłonił.

— Czołem a głową miłości waszej — odezwał się. — Myśmy po was tu przybyli. Dosyć tego zamknięcia w klasztorze, pojedziemy z wami, aby odzyskać, co wam odebrano.

Śmiejąc się głośno, Zbigniew rzucił się go ścisnąć.

— Zbawcami mi jesteście — zawołał — marłem zaszyty w tej sukni! — To mówiąc, potrząsnął nią. — Konałem w tej ciemnicy osiem lat, wiek, nim dorosłem, zestarzałem.

Łatwość i śmiałość, z jaką mówił, poprawiła pierwsze niemiłe wrażenie. Przybyli, powstawszy z ław, kołem go otaczać zaczęli.

Opat tymczasem mowy tej nie rozumiejący, widząc siebie i godność swą nieco zaniedbaną — ponury stał i milczący. Dawny wychowaniec wcale się nie zdawał zważać na niego, poczynął już sobie jako człek swobodny, który przełożonego nad sobą znać nie chce. Wyczekawszy chwilę opat skinął na Dobka z Morawicy, który starszym się zdawał między przybyłymi, i szepnął mu, gdy się zbliżył, iż chciałby z nim mówić na osobności. Dobek, żwawy i zaradny człek, swoim coś rzekł i zostawiając na ich rękach królewicza sam z opatem udał się do jego celi.

Z wolna kroczył ojciec Abdon, nic nie mówiąc, zamyślony. Mąż to był powagi, doświadczenia wielkiego i zdobytego wiekiem spokoju ducha, a przełożёнство po kilkakroć w różnych miejscach piastował i nawykł był do rozkazywania. Nadawało mu to postać i obyczaj prawie pański. Dobek z Morawicy czuł się, im dłużej z nim obcował, bardziej przybitym i zmalłym. Coś biskupiego dlań miał w sobie, a pod owe czasy biskupia dostojność niemal się z królewską równała.

Weszli do sporej izby, w której ojciec Abdon zwykł był gości dostojniejszych przyjmować. Nie było w niej innego zbytku nad ten, jaki przystał duchownemu: ksiąg wiele, obrazów złocistych kilka, krucyfiksy, ołtarzyk do modlitwy ozdobnie przybrany. Otwartymi oknami wpadało światło jeszcze żywe i jaskrawe, choć dołem w podwórzach mrok się już poczynął.

Zajął miejsce opat w krześle swym z poręczami, na poduszcze, a drugie wskazawszy Dobkowi, odezwał się po krótkim namyśle:

— Przynieśliście mi list i pieczęć z Pragi, abym na ręce wasze wydał wychowanka mojego, Zbigniewa. Ci, co go żądają, nie dali mi go, prawa doń nie mają, bierzecie mi go siłą. Z Krakowa mi był powierzony, z woli króla, jak mówiono, dziś może przeciw niej go bierzecie? Miły panie, gdym brał tego młodzieńca, niewiele o nim wiedziałem; gdy mi go zabieracie, godziłoby się, byście mnie nauczili, dlaczego wprzód odsunąć i zamknąć go chciano od oczu ludzkich w ciszy klasztornej, a dziś go chcą stąd siłą odebrać? Ciemnym to dla mnie. Obcym jestem i zakonnikiem, o sprawach Polan tak jako nic nie wiem. Sasi też o nich tyle tylko wiedzą, iż się napaści na siebie od królów waszych lękają.

— Byćże to może, ojcie przewielebny — spytał Dobek — ażeby was zostawiono w nieświadomości?

— Tak ono jest — odparł opat spokojnie. — Lat temu osiem przywieziono płaczącego chłopaka gwałtem znać do klasztoru, ze znacznym darem dla kościoła naszego. Nie pomnę, jak się zwał ten, co go oddawał, stoi zapisane na mszale imię jego. Powiedziano mi, że dziecko jest nieprawym potomkiem księcia polskiego, że je chcą zamknąć i oddalić, aby król czy książę, żonę biorąc ślubną, dziecka się nie wstydził i aby prawym następcom jego uszczerbku nie było. Kazano go do zakonu sposobić, przyrzekając wyposażenie. Imię mu było Zbigniew, myśmy w zakonie zwali go Aleksym.

Dobek słuchał zawstydzony i nieco zdziwiony.

— Ani królów waszych, ani królestwa waszego dziejów i spraw nie znam — kończył opat. — Tyle moich uszu doszło, iż mieliście zuchwałego pana, który się na swojego ojca duchownego porwał i zamordował go; że z Rzymu ojciec nasz interdykt rzucił na królestwo wasze, iż korony pozbawiono panującego, a ta się pono z woli ojca naszego, biskupa rzymskiego czy cesarza dostała czeskiemu królowi.

Dobek ramionami ruszył.

— Niechże mnie przewielebność wasza posłucha — rzekł poważnie — ja wszystko, jak umiem, opowiem. Prawda to jest, żeśmy króla mieli, który jak rycerzem był wielkim, tak niepohamowanym i zuchwałym, bo ani królów, swych braci, za równych, ani papieża,

ani cesarza za wyższych nad siebie mieć nie chciał. Zabił on biskupa naszego, męża świątobliwego, który mu grzechy jego na oczy wyrzucał, ale potem sam z kraju uchodzić musiał. Ulitował się przeciw papieżowi rzymskiemu nad nami, brat króla, choć nie koronowany, królestwo dzierży, przeciw dla nas królem jest. Synem jego pierworodnym ten oto Zbigniew, po którego my przybyliśmy.

— Ale dziecięciem nieprawym — wtrącił opat.

— Jako żywo — odparł Dobek — my tej różnicy nie znamy. Dawnym obyczajem naszym domowym wziął Władysław pan nasz żonę, krewną moją, Hannę, żył z nią jako z małżonką, choć kościół nie pobłogosławił związku, boć u nas to nie było w owe czasy koniecznością i duchowni się o to nie upominali jako teraz. Z tej Hanny, ciotecznej mojej, miał król oto tego syna, który tak jego prawym synem jest, jako i ten drugi, co mu się później z czeskiej Judyty narodził za przyczyną Ildziego świętego. Gdy król Judytę brać miał za małżonkę z krwi królewskiej, zażądano, by nie tylko pierwszą żonę, ale i pierwsze dziecię odtrącił od siebie i zapomniał o nich. Zmarła z boleści wielkiej żona, sierota została, tę wtrącono do klasztoru jako w studnię.

Opat się poruszył mocno.

— Miły bracie — rzekł — nie na zgubę, ale na zbawienie dano go nam, nie studnia to jest, ale wrota do wiecznej szczęśliwości.

— Pewnie, pewnie — poprawił się zmieszany, głową skłaniając Dobek — ale dał on się nałamać i skłonić, aby umiłował ten stan, ojciec przewielebny? Powiedzcie, abyście nasze uspokoiли sumienie.

Opat pomilczał nieco, w twarzy jego znać było zakłopotanie pewne, smutek, walkę z samym sobą. Namyslał się, miało rzec, co mu na sercu leżało.

— Miłościwy panie — odparł — nie zataję prawdy przed wami. Osiem lat trzymamy go na oku, mogę rzec na pasku, zobowiązaliśmy się do tego. Dziecko zepsute i krnąbrne tu przyszło, a daj Boże, aby lepszym stąd odebrane zostało. Naturę ma do przewyciężenia trudną i nieugiętą, umysł pojętny, krew burzliwą. Nie wiem, co z nim czynić myślicie, lecz jeśli władzę jaką z rąk waszych ma otrzymać, bodajbyście danej mu nie pożałowali.

Ostatnie wyrazy ciszej domówił opat, spuścił głowę na piersi i umilkł. Zdziwił się mocno, gdy podniósłszy na Dobka oczy, ujrzał go prawie uśmiechniętym i rozradowanym tym, co go powinno było nastraszyć.

— Ojcie przewielebny — odezwał się Dobek — takiego nam potrzeba właśnie, który by rękę silną i wolę miał, a strasznym był. Stary król niewiele może, rządzi palatyn i nas wszystkich zabierać chce w niewolę. Niech będzie zły, byle silnym był, a mógł się mu opierać...

Opat się poruszył.

— Nie żądajcie złego w złą godzinę — rzekł cicho.

— Nie odwołuję, com rzekł — począł Dobek — pan nasz, pobożny Władysław Herman, dobrym jest, ale słabym i bojaźliwym, nie panuje on, a nad nim panują. Nie pana mamy, ale z ręki jego tyranów, a raczej tyrana, przez którego królestwo paść może. Zawczasu o sobie myśleć musimy; królowa niewiastą jest i nie wie, kędy idzie, król zawojowany, wojewoda Sieciech, faworyt obojga, bodaj na przywłaszczenie sobie wszystkich ziem godzi i zastawia sieci. Nie było rady innej, jak oto to królewskie dziecię wziąć, a nim się podeprzeć przeciw samowoli Sieciechowej. Garnie on wszystkie ziemie pod siebie, a każda chce swoje prawo i wojewodę mieć.

— Daj Boże, by wasze lekarstwo gorsze od choroby nie było — odezwał się opat. — Świeckie sprawy obce mi. Nierad bym też obmawiać tego wychowańca mego, ale o niego i o was trwoży się dusza moja. Dzikie zwierzę w klatce nie straszne, na wolności biada z nim.

Umilkł.

— A cóż w nim tak złego jest? — zapytał Dobek.

— To najgorsze, żem dobrego w nim znaleźć nie mógł. Jak na suchej płonce, com zaszczeplił, zmarniało, a dzikie wilki bujają. Ugiąć się, usłuchać, ukorzyć nie umiał nigdy. Rozumu nie brak, słowo ma łatwe, bystrość wielką, gdy zechce, ale przewrotność w nim większa jeszcze...

Jakby znudzony opat zamilkł znowu i czoło ocierał.

— Nie posądzajcie mnie — dodał — abym niechęć jaką miał ku niemu, Bóg mi świadkiem, kochałem go i litowałem się, troskę z serca mi zdejmujecie, zabierając go. Nie miałbym sumienia jednak, gdybym

was nie ostrzegł, nie oznajmił wam, iż pilno czuwać nad nim powinniście.

Dobek, pochyliwszy się do ręki opata, ucałował ją.

— Dziękujemy przewielebności waszej — odezwał się.

— Bynajmniej to nie zmienia naszych zamiarów. Jakikolwiek on jest, wziąć go musimy. Kto wie, czy swobodniej puszczony nie zmieni się, a nie stanie takim panem, jakiego nam trzeba. Nam by teraz żelaznych rąk Mieszka i twardej prawicy Bolka Chrobrego nie nadto było.

— Mówiliście przecie sami, że pobożnego i dobrego króla macie?

— spytał opat.

— Pobożnego, tak ci jest — odezwał się Dobek — dobrego też, ale słabego. On dziś już nie panem jest, tylko na łasce Sieciechowej posłusznym narzędziem.

— Mówiliście, że syna ma? — wtrącił opat, spoglądając niedowierzająco.

— Dziecko to prawie jeszcze — rzekł Dobek — zawojowane przez Sieciecha, który je wychował, bo u nas Sieciech palatyn wszystkim: i królowej ulubieńcem, i króla prawą ręką, i królewicza nauczycielem, i królestwa władcą, a jutro, kto wie, czym być zechce?

— A któż ten Sieciech jest? — rzekł opat.

— Kto Sieciech, pytacie? — rozśmiał się przybyły, ramionami ruszając, jak by go to pytanie niepomału zdziwiło. — Jakże to rzec, kto on jest? Był to gładki młodzieniec, Toporczyk rodem, niewielkiego mienia, ale pięknej postawy i żywego ducha, śmiałości wielkiej. Królowi się podobał, bo mu do wszystkiego służył, miłym się stał królowej, która młodzieź lubi. Umiał się przymilić, wyręczyć i objął powoli wszystko. Króla obsadził swoimi ludźmi, w ręce wziął miecze i klucze, Władysławowi dając spoczywać, modlić się i zażywać pokoju. Żołnierz i wódz szczęśliwy, rozumem i nauką choćby z biskupami o lepszą iść gotów. Dziś on pan na Sieciechowie, a jutro na ziemiach i karkach naszych panem być może.

— Cóż jeden taki chłopak przeciw niemu znaczy? — odparł przełożony.



— Bardzo wiele! — zawołał Dobek. — Mamy dlań zapewniony Śląsk, gdzie go Wrocławianie i wojewoda Magnus przyjmą za pana, aby postawić przeciw Sieciechowi. Ukróćmy władzę jego i uratujemy krew pańską.

Pomilczał trochę opat.

— Lepiej to zapewne wiecie, co czynić macie — odparł krótko — róbcie, jak was Bóg natchnął, ja z sumienia mojego zrzuciłem brzemię. Teraz — dodał, z lekka się podnosząc, duchowny — idźcie, miłościwy panie, sam na sam weźmijcie przyszłego pana, a zajrzyjcie mu w duszę. Zobaczymy, co o nim powiecie.

— Pospieszę, gdy dozwolicie — rzekł Dobek i raz jeszcze rękę opata ucałowawszy, wyszedł z celi. Tu stojący kleryk, który na rozkazy czekał, drogę mu do *foresterium* pokazał.

Zbliżając się do wnijscia, już omylić się nie mógł Dobek, taką tam wrzawę wewnątrz słychać było i śmiechy, w których głosy towarzyszków swoich poznawał. Nad wszystkimi huczniej rozlegało się rechotanie dzikie, w którym się domyślał Zbigniewa. Uchyliwszy drzwi, ujrzał widowisko osobliwe. Polanie przybyli z Dobkiem, którzy jadąc na tę wyprawę, zawczasu obmyślili, czego potrzebować będą, zabrali z sobą suknie i uzbrojenie stosowne dla przyszłego księcia, aby się w nich mógł przystojnie Wrocławianom okazać.

W czasie niebytności Dobka albo oni się o przebranie nędznie odzianego kleryka upomnieli, lub on sam zażądał innych sukni.

Dobek trafił właśnie na tę chwilę, gdy sakwy i węzły na ziemi leżące rozwiązawszy, towarzysze jego młodego syna królewskiego na nowo przyodziewali.

Zbigniew szczęściem swym był upojony i jako się niedawno rzucił rozpaczliwie w niewoli, tak teraz miotał się, oszalawszy swobodą bez miary. Nie czyniło go to piękniejszym. Rozebrany z ciasnych sukien, silnym się okazał, ale równie niezgrabnie wyciosanym, jak wprzód. Twarz jego blada rumieniła się weselem, a oczy iskrzyły jakąś zapalczywością, niemal rozpasaną, która już i tych, co go otaczali, razila.

Gdy Dobek wszedł, ujrzał na ziemi podarty w szmaty drobne habit zakonny, Zbigniewa już na pół rycersko przyodzianego, samemu sobie

dziwiącego się, jak dziecię. Wszyscy dokoła posługiwali mu chciwie; jeden kaftan podawał, drugi pas opinał, inny chciał hełm próbować. Zbigniew nogą obutą bił w ziemię, śmiał się, urągając i wykrzykiwał głośno.

— Osiem lat mię więzili — wołał — raz wolny wolę zginać, niż się im dać okuć na nowo! Ani panu ojcu, co się zaparł syna, ani królowej macosze, ani miłemu bratu, ni w świecie nikomu. Wydali mi wojnę, gdym dzieckiem był; zaprawdę, nie poczynałem jej, będą mieli wojnę, bo ja tak ich nie znam, jak oni mnie znać nie chcieli. Prawo tylko swe znam i Boga nad sobą, więcej nic.

Dobek, nie zbliżając się, przysłuchiwał się zza drugich. Kleryk (bo mu już tu pierwszego dnia niektórzy nadali to przezwisko, mające przy nim zostać na zawsze), im mu bardziej śmiechami potakiwano, tym raźniej wykrzykiwał. Nie wiedział Dobek, czy się miał tym radować, czy trwożyć; miarkował, że człek był jeszcze nie wytrzeźwiony z pierwszego szału, a młody, lecz w zahukanym dziecku nieśmiałości się zbytniej raczej było można spodziewać niż takiego nagłego rozuchwalenia.

— Oho! — wołał rechocząc wyzwolony, gdy mu miecz przypasywano — oho, teraz mi już nikt nie zabroni, gdy włosy odrosną, puścić je na ramiona i brodzie też dać bujać, a jeść, a pić i na niewiasty patrzeć, i pieśni słuchać, i śmiać się do woli!

— Na niewiasty — wtrącił któryś — nie tylko patrzeć wam wolno, ale je i brać.

— O! — przerwał Zbigniew — ano, cicho! Tu o nich ani mówić, ani ich widzieć, ani myśleć o nich nie wolno pod karą wielką. Ojcowie mówią, że szatan siedzi w nich.

Śmieli się niektórzy, inni szeptali.

— Krew nie woda, teraz sobie nagrodzi.

Zbigniew dosłyszał to i ręce podnosząc, począł wołać:

— Zaprawdę! zaprawdę! Nagrodzić sobie muszę stracone lata! Gędźby, pieśni, śmiechu, swawoli zażyć, jak mężczyźnie przystało.

— Wszystko mieć będziecie — odezwał się poważniej Dobek — ale i miecz też nie będzie próżnował.

Zbigniew spojrzał na wiszący u boku obojętnie jakoś.

— Tym ja jeszcze nie władnę — rzekł — bo mi też ani go dotknąć, ani próbować nie dano. Skądże bym miał wziąć go tam, gdzie i pałka zakazana była? Nauczycie mnie z nim się obchodzić.

— Nauczmy, nauczmy! — odezwali się chórem wszyscy.

Wesołość była wielka, bo każde słowo książęce nią witano, on zaś był jak pijanym i rozpasanym do zbytku. Nogami gniótł i szarpał zrzucony habit i wyciągał się, radując wygodnemu kaftanowi, mieczowi przypatrywał, pasa pociągał, a coraz to mu się słowo wyrwało zuchwalsze, niżby się z ust kleryka spodziewano.

Dobek odwiódł Starzę na stronę.

— A co, pan nasz? — spytał po cichu.

— Widzicie go — rzekł Starża, człek chudy, zasępiony i frasośliwy z natury. — Musiało mu się od tej nagłej swobody w głowie zakręcić. Mówi jak po pijanemu, po mnie ciarki chodzą słuchając.

Pochylił mu się Dobek do ucha.

— Jeszcze by was gorsze wzięły dreszcze — rzekł — gdybyście posłyszeli, co mnie o nim opat rozповідаł. Ano, wyboru nie mamy.

— Cóż mówił?

— Straszyl mnie nim. Azali my na nasze karki nie ostrzemy topora? — szeptał Dobek nieco zasępiony. — Któż wie?

Namyślił się Starża.

— Gorzej ci nie będzie — odparł po namyśle. — W naszych on rękach, jakeśmy go wzięli, tak go porzucić możemy.

— Łacniej pono wziąć, niż się zbyć — dokończył Dobek. — Znajdzie sobie zawsze tych, co go podpierać będą.

Spozierali z ukosa na królewicza, a Starża rzekł w końcu:

— Po tym, coście wy od opata słyszeli, i ja się trwożyć będę. Bogiem a prawdą, ten syn królewski do serca mi nie przystał. Suknia zakonna nie uczyniła go lepszym, choć na rozumie i języku mu nie zbywa.

— Przysłuchajmy się im — Czech wtrącił.

— Dzieckiem jest, jako oni wszyscy po klasztorach, po wielkiej niewoli bryka człek jak żreback, którego na łąkę wypuszczą.

— Prawdęś rzekł — potwierdził Dobek. — Nie łapmy ryb przed niewodem!!

I zbliżył się do wesołego kółka, które Zbigniewa otaczało.

Właśnie stoły dla gości zakonni braciszkwowie przygotowywali do wieczerzy, gdy Dobek ze Starzą podeszli do królewicza, który, odziany w szaty nowe, pysznił się nimi. Siedział na ławie, dumnie spoglądając na braciszków, niedawno towarzyszków swych, z obawą jakąś rzucających nań przestraszone wejrzenia. Przeistoczenie to człowieka, którego wczoraj sądzili już na wieki obleczonym suknią i ślubem, budziło w nich myśli trwożne. Wedle ich pojęć zgubionym był i zaprzędanym nieczystej sile. Z poszanowaniem podnieśli z ziemi podartą suknię zakonną, którą Zbigniew zdeptał nogami, i jeden z nich wyniósł ją co prędzej z foresterium. Na twarzy pozostałych malowała się zgroza, oburzenie, postrach kary bożej, która świętokradcę osiągnąć miała.

Zbigniew się im rozparty na ławie urągał.

— Bracie Łukaszu, bracie Agapicie, braciszku Odonie, patrzajcie no! Nie wyglądamli ja na rycerza? Nie dobrze mi tak? Chciałoby się i wam takiej sukni? He?

Braciszkwowie nie spoglądali nań, nie odpowiadali nawet, ustawiali na stole miski, kładli chleby, krzatali się około kubków i dzbanów, spuszczały oczy. Wesołość tylko co rozdzanego kleryka, choć się tłumaczyć dała, nawet świeckim jego towarzyszom wydawała się nieco dziwną, trochę rażącą, cóż dopiero skromnemu braciszkwowi Łukaszowi! Szał ten trwożył go nad wyraz wszelki, gdyż i ów sen, i przygody uważał za dzieło złego ducha, wiodącego nieszczęśliwego do zguby.

Wejście nawet opata i kilku milczących zakonników, którzy mu pokornie towarzyszyli, postępując za nim z oczyma w ziemię wlepionymi, niewiele uśmierzyło rozbujanego ksiądzęcia. Dobek musiał go cichą przestrogą skłonić, aby nieco skromniej i ciszej się znajdował, za co mu wejrzeniem złośliwym zapłacił. Opat odmówił, stojąc, błogosławieństwo, gościom podano miednice, nalewki i ręczniki, skromny posiłek zastawiła służba na stołach, na trzech jedną, wedle obyczaju, dając misę, z której społem jedli.

Rozmowa stała się cichszą i nieśmiałą. Opat był poważny i milczący. Nie biesiadowano też nad miarę, gdyż choć przyjęcie dostatnie było, zbytku w klasztorze nie dopuszczano. Piwa po kubku postawiono

przy każdym, jadła brał każdy, ile chciał i jak stało. Mięso dawano tylko dla obcych, a Zbigniew, długo pozbawiony go, niepomrotnie użył i z widoczną żarłocznością. Nie okazując tego, opat mierzył go oczyma, spoglądali nań i inni, nie mogąc poznać w tym śmiałym aż do zuchwałości chłopcu, który się im urągać zdawał, chmurnego, milczącego braciszka, jakiego znali w sukni zakonnej.

Po dziękczynnej modlitwie mnisi, ucałowawszy z przyklęknieniem rękę opata, opuścili jadalnię, przełożony sam został z obcymi.

Widać było, iż życzył sobie mówić ze Zbigniewem, który unikać się go zdawał. Stało się to nareszcie niemożliwym, gdy ojciec Abdon, wprost doń podszedłszy, stanął, mierząc go oczyma, które wzrok spuścić zmusiły. Sile tego wejrzenia, którego słuchać był nawykł, ulec musiał. Gniewny czekał, co opat mu powie.

— Powinszować wam chcę i pobłogosławić — odezwał się głosem surowym przełożony. — Zmienił się los wasz tak pono, jakeście w duszy waszej pożądali; daj Boże, by na szczęście dla was i dla tych, co was na pana ku sobie powołują. Wielki ciężar zaprawdę spada na ramiona wasze, a ujrzenie kiedyś, iż cięższym jest do dźwigania od tej sukni ubogiej, której nie umielibyście umiłować. Idźcież w świat z Bogiem, miłościwy panie, tak, z Bogiem! Nie zapominajcie o Bogu, którego wola spełnia się nad wami. Jutro do dnia, niżeli rozpoczęcie podróż, odprawię mszę świętą na intencję waszą i pobłogosławię.

Sądzili wszyscy, słuchając, że się chłopak słowy pełnymi dobroci uczuje za serce ujęty, że się ugnie, jako należało, przed opatem i podziękuje za doznaną opiekę i względy. Czekali. Zbigniewowi czoło się zachmurzyło tylko, zmarszczył brwi, oczy spuścił w dół, zamruczał coś niewyraźnie i nie pochylił się nawet do ręki opata. Kapłan stał, popatrzał chwilę, nie rzekł już więcej nic, głowę skłonił, ku otaczającym się zwracając, i krokiem powolnym, z klerykiem, który ze światłem czekał nań u drzwi, wyszedł.

Gdy się te za nim zamknęły, książę dopiero podniósł głowę z wyrazem niemal gniewnym.

— Ha! — mruknął. — Chciał, bym mu jeszcze dziękował może, że mnie ręką żelazną trzymał przykutego bez litości lat tyle. Niedoczekanie ich! Mnichy i życie mnisze mi dojadło. Jutro jak świt w drogę.

— Ale nie bez mszy i błogosławieństwa — odezwał się Dobek. — Niepewna jeszcze, co nas i was, miłościwy panie, czeka, jest o co Pana Boga prosić.

— O! Dla mnie byle na swobodę i za te mury! — zawołał Zbigniew, ręką machając przed siebie.

Wtem zbliżył się nieśmiało braciszek Łukasz, dawny towarzysz, pytając, czy w dawnej swej celi nocować nie zechce.

— Ja, w tej dziurze!? — krzyknął szyderczo Zbigniew. — Nie! Wolę tu, na gołej ziemi. Od moich towarzyszków nie odejdę krokiem.

Wnet młodszy wziął go między siebie, a brat Łukasz zawstydzony, skłoniwszy głowę, spomiędzy nich się wyśliznął.

### III

Działo się to w 1096 roku.

Zamczysko w Płocku, kędy król (bo tak go w domu zwano, choć koronowanym nie był) najczęściej przebywał, już naówczas nieco przystojniejszy niż za lat dawnych pozór miało, acz i teraz obozowisko i namioty więcej przypominało niż gród stołeczny.

Stolicę też naówczas stałych nie mieli królowie, czasowo przemieszkując po grodach i ziemiach, do których ich upodobanie, obowiązki, wojny i sprawy domowe powoływały.

Kraków, od tego czasu, gdy Bolesław Szczodry skałał kościelne progi krwią świętobliwego biskupa, był jeszcze jakby pod klątwą; unikano go, tkwiły w nim wspomnienia straszne, obawiano się, jakby miejsce samo nieszczęśliwym było. Pustoszało po trosze opuszczone zamczysko, niezatarte nosząc ślady niedawnej jeszcze przeszłości.

Władysław Herman bezpieczniejszym się czuł w pośrodku ziem swoich, na Mazurach w Płocku, niż w Poznaniu, Gnieźnie, na Śląsku i w Krakowie. Tu więc i on, i dwór, i królowa Judyta, cesarskiej krwi pani, przebywać